

GOMULICKI
WIKTOR TEOFIL

CUDNA MIESZCZKA

Gomulicki Wiktor

Cudna mieszczka

«Public Domain»

Wiktor G. T.

Cudna mieszcza / G. T. Wiktor — «Public Domain»,

O rękę Basi Szeliżanki, pięknej, młodej i bogatej panny, ubiega się dwóch mężczyzn. Jeden z nich to Giano, włoski śpiewak, drugi — Jerzy, polski mieszczanin, złotnik. Ckliwa i romantyczna historia tego miłosnego trójkąta rozgrywa się w XVII-wiecznej Warszawie. Autor odtwarza realia stolicy z czasów Zygmunta III Wazy, zabiera czytelnika na spacer po warszawskiej Starówce i królewskich komnatach. Powieść Cudna mieszcza ukazała się po raz pierwszy w 1897 roku. Wiktor Gomulicki to polski pisarz i badacz historii Warszawy, jeden z twórców epoki pozytywizmu. Autor m.in. słynnej powieści Wspomnienia niebieskiego mundurka, współpracował z redakcjami „Kuriera Warszawskiego”, „Kuriera Codziennego” i innych. W 1918 roku został uhonorowany nagrodą literacką im. Elizy Orzeszkowej.

© Wiktor G. T.

© Public Domain

Содержание

I. Serenada	5
II. Ostatnia kropla	10
III. Nie zawsze powraca się nocą tam, skąd się rankiem wyszło	14
IV. Basia	19
V. Będzie, co przeznaczono	23
VI. Szcherb wypływa	26
Конец ознакомительного фрагмента.	28

Wiktor Gomulicki

Cudna mieszcza

I. Serenada

– Tędy, Fabio! Tędy, Luka!
– *Corpo di Bacco*¹! O małym nie runął przez jakieś ciało parszywe, co w poprzek drogi leżało!
– Pies pewnie...
– Pewniej Żyd.
– Kolnij nożem – przekonasz się. Jeśli pies – zawyje; jeśli dusza niechrzczona – zakwicy...
– Ciszej, kamraci². Ty, Luka, brzuch wciągnij, a ty, Fabio, trzymaj się murów i nie schodź na środek. Księżyc zdradzić nas może.

– Rzuciłbyś do biesa³ tę komedię, przyjacielu Giano! To nie Wenecja!
– Więc cóż! Piękne niewiasty są wszędzie, a nad Wisłą więcej ich niż nad lagunami.
– Mówisz jak półgłówek. Dodaj, że Warszawa od Wenecji piękniejsza, a będę cię miał za skończonego wariata.

– Nie kłóćcie się. Otośmy na rozstaju. Niech Giano gada teraz: w prawo czy w lewo?

Zamilkli i w miejscu stanęli. Byli u wylotu ulicy Baryczkowskiej wprost targu rybnego. Przed nimi leżał placyk kwadratowy, przez pół biały od księżycy, przez pół czarny od mroku. Z dwóch stron placyku stały kamienice; w głębi ciągnął się mur wysoki, zębaty, w równych odstępach basztami półokrągłymi najeżony.

Z trzech ludzi, rozmawiających po włosku, wysunął się najwyższy, któremu było na imię Giano. Wysunął się i jał⁴ niespokojnie patrzeć dokoła.

Zawinięty był w płaszczyk lekki, spod którego wyglądały nogi w femurałach⁵ barwistych. Na głowie miał berecik z piórem czerwonym. Spod berecika wymykały się długie, czarne, na szyję spadające włosy.

Towarzysze byli również z włoska, choć mniej strojnie ubrani. Jeden gruby, beczkowaty, wyglądał jak tocząca się kula. Drugi zdawał się suchotnikiem.

Giano spojrzał bystro w jedną i w drugą stronę, i cofnął się z pośpiechem pod wystający okap muru.

– Hę? – spytali tamci.

– Bacność – szepnął – ktoś nadchodzi.

Dunajem toczyło się dwóch kumów⁶ pod dobrą datą⁷. Szewcy pewnie albo cieśle – w szarych kubrakach obydwa, z czapkami przekrzywionymi. Jeden patrzył w księżyc i podśpiewywał, niezbyt głośno zresztą:

Szarszan zardzewiały⁸

Z poszew opadały,

¹ *corpo di Bacco* (wł.) – dosł. na ciało Bachusa (przekleństwo). [przypis edytorski]

² *kamrat* – kolega, kompan, towarzysz. [przypis edytorski]

³ *bies* (daw.) – diabeł. [przypis edytorski]

⁴ *jać* – zacząć. [przypis edytorski]

⁵ *femurały* (z łac. *femur*: udo) – krótkie, obciste spodnie, przylegające do uda. [przypis edytorski]

⁶ *kum* – tu: kolega, sąsiad. [przypis edytorski]

⁷ *pod dobrą datą* (daw., pot.) – nietrzeźwy, pijany. [przypis edytorski]

⁸ *szarszan* – rodzaj szabli. [przypis edytorski]

Kijec granowity⁹,
Harkabuz¹⁰ nabity...

Drugi patrzył w ziemię i pluł na prawo i na lewo.
Gdy byli już blisko, weselszy z dwóch zaśpiewał głośniej:

Mazurowie naszy¹¹
Po jaglanej kaszy
Jak sobie podpiją,
Wnet chłopca zabiją...
Hu – ha!

Stanął i w miejscu się okręcił.

Nagle wzrok jego padł na trójkę stojącą pod murem. Zajął go bardzo. Przyglądał się jej pilnie, oczy mrużąc i uśmiechając się; potem palec wysunął przed siebie i usta otworzył.

– Włoskie małpy! – krzyknął w głos i śmiechem wybuchnął głupim.

Ale drugi w tejże chwili dał mu w bok kułaka¹².

– Królewscy! – rzekł mu do samego ucha.

Uspokoilo go to od razu. W jednej chwili spowaźniał, przygarbił się, zmałał. Czapkę z głowy ściągnął i mówił:

– *Laudetur*¹³.

– *In saecula...*¹⁴ – odrzekli Włosi.

– Ja... – bąkał onieśmielony, kłaniając się, z odkrytą wciąż głową – ja panów Włochów od serca miłuję... Panów Szwedów takoz... I panowie Niemcy moi bracia... Powiedziano: miłuj bliźniego swego...

Towarzysz pociągnął go za rękaw, przerywając orację. Opierał się trochę, w końcu ustąpił. Odchodząc, jeszcze raz skłonił się pokornie.

– Wydostań brzuch, Luka! – zawołał Giano wesolo. – Niebezpieczeństwo minęło.

Grubas wysunął się spoza skarpy, do której przylepiony był jak nietoperz.

– Oj, Giano! Giano! – mówił płaczkliwie – szukasz ty guza własnowolnie.

– Na swoją głowę i na naszą! – dodał płaczkliwiej jeszcze Fabio.

– Tchórze! – wykrzyknął Giano. – Złękli się dwóch szewców pijanych.

– Ba! Mogła to być szlachta!...

– Albo pancerni!...

– Giano, pieszczoto wenećjanek! Przyjacieli tobie mówi: wróć się!...

– Giano, słowiku z Lido¹⁵! Kamrat ciebie ostrzega: wróć się!...

Smukły Włoch głowę uniósł – oczy mu zapłonęły...

– Nigdy! – rzekł z mocą. – Ach! Wy nie wiecie, jaka ona piękna. Róża przy niej jest pokrzywą, brylant krzemieniem, słońce świeczką łojową...

– Pi, pi, pi!... – zadziwił się Fabio.

– Kiedym ją po raz pierwszy ujrzał... takt w śpiewie zgubiłem. Zdawało mi się, że to z ołtarza anioł zstąpił i siadł w ławce z książką do modlitwy. Od tego dnia nie śpiam. Kiedy wy wszyscy,

⁹ *granowity* – graniasty, kanciasty. [przypis edytorski]

¹⁰ *harkabuz* a. *arkebus* (z fr.) – strzelba lontowa, gładkolufowa, używana od XV do XVII w. [przypis edytorski]

¹¹ *Mazurowie naszy (...)* *Hu-ha* – popularna piosenka z XVII w. [przypis edytorski]

¹² *dać w bok kułaka* – trącić pięścią (*kułakiem*) w bok. [przypis edytorski]

¹³ *laudetur* (łac.) – niech będzie pochwalony. [przypis edytorski]

¹⁴ *in saecula* (łac.) – na wieki. [przypis edytorski]

¹⁵ *Lido* – niewielka wyspa w pobliżu Wenecji. [przypis edytorski]

winem nalani, w najlepsze chrapiecie, otwieram okno, na księżyc patrzę i wołam z głębi serca: „Barbaro! Barbaro!”.

– Ona nie dla ciebie... – mruknął Luca.

Giano rzucił się, jakby go sztyletem pchnięto. Oczy mu dziko błysnęły; usta wykrzywił kurcz; pod czarnym wąsem zabieliły się wyszczerzone zęby.

– Jeśli nie dla mnie – syknął – to i dla nikogo!

Towarzysze spojrzeli po sobie. Oczy ich mówiły: „Już z nim nikt nie poradzi...”.

– Idźmy! – odezwał się z rezygnacją grubas.

– Idźmy! – powtórzył jak echo suchotnik.

Giano uspokoił się, ale mu bladeść na twarzy została. Skinął na kamratów i poprowadził ich przez plac, po stronie cienia. Potykali się o wielkie, płaskie kadzie, poślizgiwali na wilgotnych i szlamem pokrytych kamieniach. Woń ryb zepsutych uderzała ich powonieniem. Nad głową słyszeli łoskot suchych, poruszanych wiatrem sztokfiszów, które wywieszono na znak ponad kramami.

Minawszy targ rybny, skręcili w prawo. Giano prowadził ich teraz wąskim przejściem wzdłuż muru. Pełno tu było gruzów; rosły też osty i inne zielska. Niebawem ujrzeni przed sobą potężny czworobok Bramy Nowomiejskiej. Osadzony mnóstwem przystawek, daszków, wykuszów, wieżyczek małych i okratowanych okienek, wyglądał jak maczuga krzemieniami nabijana.

– Kto idzie?! – krzyknął pachołek trzymający straż w bramie i halabardą brzęknął o kamienie.

Ale zaraz, poznawszy „królewskich”, uspokoił się i w głąb cofnął. Na ławie kamiennej stał tam dzban niepróżny, a przy nim kilku wojaków w kości grało...

– Przekłete Włoszyska! – mruknął spluwając. – Zawdy¹⁶ to ma po nocy robotę!

– Wiadomo! – odezwał się kompan od dzbana. – Włoch i kot – czeladź¹⁷ czartowska!

Inni przeżegnali się z trwogą.

Giano z towarzyszami weszli na Krzywe Koło. Posuwali się z ostrożnością wielką, bo ulica była widna i cień waziuchny tylko paskiem ciągnął się wzdłuż kamienic. Co kilkadziesiąt kroków wymijać musieli kupy śmieci i nawozu. Środkiem ulicy, głucho pluszcząc, płynął ściek i na brudnej fali pozłotę niósł księżycową.

– O Wirgili! – szepnął Fabio ze smutnym uśmiechem, pokazując widok ten przy jacielowi.

A Luka przeniósł oczy ze ścieku na towarzysza i zauważył:

– Jest strumień i pasterz jest piękny z fletnią. Niech wyjdzie Amaryllis, a będzie ekloga¹⁸...

Giano milczał – smutny i jakby martwy. Dopiero gdy stanęli u wejścia na Rynek, ożywił się. Wskazał kamienicę narożną, wąską a wysoką, i rzekł głosem drżącym:

– To tutaj...

Rynek w oświetleniu pełni księżycowej wyglądał fantastycznie. Jaskrawe światła i cienie grube kłóciły się co krok ze sobą. Stojący na środku Ratusz rzucał kolumnę mroku tak wielką, że aż sięgała jasnych frontów kamienic. I były kamienice te podobne duchom czyścicowym, które stopami wrosły w otchłan, ale na czołach mają już zorzy niebiańskiej jutrzeńkę.

Tu i owdzie znać jeszcze było ślady strasznego pożaru sprzed lat pięciu¹⁹. Na ogół jednak domy były piękne i strojne. W świetle księżycy pławiły się liczne figury kamienne, białe i barwione, stojące na gzymsach, wychylające się z wnęk i zdobiące narożniki. Na belwederkach²⁰, obyczajem włoskim, stały kwiaty. Wiele kamienic miało fronty malowane w różne kolory; na niektórych połyskiwało złocenie. Gdziegdzie, mimo noc jasną, paliła się lampka przed wmurowanym w ścianę obrazem.

¹⁶ *zawdy* (daw.) – zawsze. [przypis edytorski]

¹⁷ *czeladź* – służba; ogół służby zatrudnionej we dworze a. w domu. [przypis edytorski]

¹⁸ *ekloga* – sielanka; pieśń opiewająca życie pasterskie. [przypis edytorski]

¹⁹ *ślady strasznego pożaru sprzed lat pięciu* – w 1607 roku pożar, zaproszony przez kuchnie polowe rozbite na rynku przez szlachtę, zniszczył wiele kamienic Starej Warszawy, groziło także zajęcie ogniem zamku (wówczas w trakcie rozbudowy). [przypis edytorski]

²⁰ *belweder, belwederek* (z wł.) – dosł.: piękny widok; tu: balkon z widokiem na okolicę. [przypis edytorski]

Nad wszystkim górowała smukła wieżyca Ratusza – niby maszt kamiennego korabia²¹, który senna cisza fal na miejscu osadziła.

Spało miasto; spali ludzie. Nie świeciło się ani w jednym oknie. Cisza była taka, że można było słyszeć skrzypienie blaszanej syreny, wykręcającej się na szczycie Ratusza, oraz miarowe stąpanie surmacza²², który chodził w kółko po galerijce wieżowej, wypatrując ogień i otrębując godziny.

Trójka Włochów wcisnęła się w wąski, spadzisty przesmyk, wiodący ku Białej Wieży. Dzikie to było miejsce i szpetne. Mrok gęsty zalewał je niby dno wąwozu. Postacie jakieś, nadejściem obcych spłoszone, poruszyły się i chyłkiem jeły uciekać. Nie wiadomo: zwierzęta czy ludzie...

Giano znał dobrze miejscowość. Postąpił śmiało kroków kilkanaście. Potem stanął, odwrócił się i w górę spojrział.

Uśmiech przemknął mu po twarzy. Chwycił Fabia za rękę i rzekł:

– Patrz...

Wznosiła się przed nimi ściana wysoka, pełna okien i ganków, i od ziemi do szczytu blaskiem księżycowym zalana. Był to tył kamienicy narożnej. Na wysokości drugiego piętra znajdował się tam belweder ku Wiśle obrócony. Na belwederku stały wielkie donice z kwiatami; stało też kilka stołków niskich, skórą pokrytych. Przez szklane drzwi, wychodzące na ten taras maleńki, widać było światło.

– Nie śpi... – szepnął Giano ze wzruszeniem rozkosznym. Rękę jedną na sercu położył; palcami drugiej pocałunek w stronę okna oświetlonego posłał.

– *Ave*²³ – zawołał głosem miłości pełnym.

Zaraz potem towarzyszący miejsca jął wyznaczać. Fabia ustawił po jednej stronie zaufka, Luce po drugiej. Sam stanął pośrodku, nieco naprzód się wysunawszy.

Na dany znak wszyscy trzej odrzucili płaszcze.

Grubas dzierżył lutnię o długiej szyi, która mu aż ponad ramię wystawała. Cienkosz do ust podnosił fletnię wysmukłą. Giano trzymał w ręku niedużą mandolinę, na wstędze różowej przez ramię przewieszoną.

Przez chwilę stali w miejscach, nie poruszając się. Potem od razu w instrumenta²⁴ swe uderzyli.

Słodka przegrywka przez powietrze błękitne ku gwiazdom uleciała. Miękki głos fletu z pieśczoneymi dźwiękami lutni i z perłowym strun mandolinowych szmerem złożyły się na jedno przeciągłe, lęklive westchnienie, które mówiło: „Kocham – och! – kocham...”.

W gorze drzwi brzękły. Dwie postacie niewieście wyszły nieśmiało na belwederek i wśród kwiatów przysiadły. W księżycowej jasności na chwilę tylko błysnęły, gdyż zazdrosna gąszcz liści zaraz je zakryła.

Wówczas Giano zaczął śpiewać. Głos miał tenorowy, aksamitny – jeden z tych głosów, które na kobiety jak narkotyk działają. Ciche akordy mandoliny biegły za pieśnią jego niby rój pszczoł o złotych skrzydełkach.

Giano śpiewał:

Chi puo mirarvi
E non lodarvi,
Fonti del mio martiro:
Begli occhi chiari,
A me più cari
Che gli occhi ond'io vi miro!

²¹ *korab* – statek. [przypis edytorski]

²² *surmacz* (daw.) – trębacz; por. *surma*: trąbka alarmowa. [przypis edytorski]

²³ *ave* (łac.) – bądź pozdrowiony/pozdrowiona. [przypis edytorski]

²⁴ *instrumenta* – daw. forma N.lm; dziś: instrumenty. [przypis edytorski]

Księżyc oświetlał go z boku, podnosząc świetność stroju, uwydatniając postać smukłą, gibką, wężową. Był piękny. Noc, pieśń, samotność otaczały go urokiem. Budził miłość i uosabiał ją.

Księżyc błyszczał coraz ognistiej, śpiew wzbierał coraz większą namiętnością, kwiaty na belwederku coraz silniej drżały.

Nagle...

II. Ostatnia kropla

- A ja ci rzekę²⁵: pij!
- A ja ci rzekę: w spokoju mię zostaw!
- Frasunek w kielichu utopisz...
- Oliwa na wierzch wypłynie...
- Wolisz truc się?
- Wolę...
- Mości Hała-Drała! Sam tu!

Spoza wielkiej beczki wylał człowiek zaspany. Oczy przetarł, przeciągnął się, zapytanie niewyraźne mruknął. Wyglądał dziwnie i zagadkowo. Miał na sobie kaftan zielony, stary i zaplamiony, ze śladami złocistego wyszywania. Głowę owiżywał szmatą brudną, podobną razem do zawoju, do feza i do zwykłej babskiej chustki.

Był to imć pan Agła-Abłanowicz zowiący siebie Ormianinem, właściciel lochu z winami pod Ratuszem. Na jego śniadej twarzy o wielkim, do dzioba kruczego podobnym nosie i o czarnych podłużnych oczach malowało się wyraźnie wschodnie pochodzenie. Malowało się też i chytróści niemało.

- Tokaju²⁶? – zapytał wyciągając rękę po dzban, między dwoma biesiadnikami stojący.
- Waścin²⁷ tokaj z morawskiej lury fabrykowany! – rzekł drwiąco starszy z dwóch.

Zuchem on się zdawał, na ławie buńczucznie się rozpierał i pięścią w stół uderzał nieustannie. Wąs miał zadarty do góry, bródkę ze szwedzka przystrzyżoną, na głowie czapkę, lisim futerkiem oszytą.

Na przedzie czapki futerko tworzyło czub zadzierzysty, podnoszący jeszcze bardziej zawadiacki wygląd młodzieńca.

– Kalumnie²⁸ waszmość gadasz – odburknął Ormianin. – Toż do mnie szmekierowie²⁹ przychodzą, win próbują...

- Czerwieńce³⁰ biorą... – dodał tamten przedrzeźniając.

Ormianin ramionami wzruszył i z dzbanem do odejścia się zabierał. Młodzieniec zatrzymał go.

- *Varietas delectat*³¹ – rzekł. – Utoch nam petercymentu³², mości Hała-Drała.
- Sługa waszmości.

– Ale strzeż się, by to nie był sok zaprawiony! Kata bym sprowadził, żeby beczkę pod pręgierzem rozbił. Jakem Szcerb, mości winiarzu, jakem Szcerb!

Agła przyniósł gąsiorek z winem hiszpańskim, pieprzykowanym. Sam nalał w kubki, językiem mlasnął, oczy przymrużył...

- Takiego Włochy nie piją – rzekł z uśmiechem zagadkowym.

Młodszy biesiadnik na wspomnienie Włochów ocknął się z zamyślenia. Za jasną bródkę szarpnął się, wzrokiem dokoła potoczył i na gospodarzu go zatrzymał...

- Coście o Włochach mówili? – zapytał.

²⁵ rzekę – dziś: mówię; por. czas. *rzec.* [przypis edytorski]

²⁶ tokaj – białe, deserowe wino węgierskie. [przypis edytorski]

²⁷ Waścin – pański; por. *Waśc*, tj. Wasza Miłość, daw. zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

²⁸ kalumnia – oszczerstwo; fałszywe oskarżenie. [przypis edytorski]

²⁹ szmekier (z niem.) – daw. pracownik służb celnych, poszukujący towarów pochodzących z przemytu. [przypis edytorski]

³⁰ czerwieńce – czerwone złote. [przypis edytorski]

³¹ *varietas delectat* (łac.) – różnorodność bawi. [przypis edytorski]

³² *petercyment* – rodzaj słodkiego wina hiszpańskiego; nazwa od imienia i nazwiska Pedra Jiméneza. [przypis edytorski]

– Mówiłem, że Włoch do wina jak panna do szabli. Aby słodkie – o resztę nie pyta. *Dolce... dolce...*³³ jak sroka piszczy i jeszcze wodę dolewa. Obrzydliwość! Wczoraj byli u mnie dworscy...

Młodzian z jasną bródką drgnął.

– I cóż? – spytał, oczyma mówiącego świdrując.

– Pili mało-wiele³⁴, ale siła³⁵ się nakrzydzeli. Wreszcie ten ich gaszek³⁶ wycackany³⁷, co nań Dziano wołają, rzecze: „Panie Abłanowicz, postaw waść dla mnie beczkę małmazji³⁸ co najprzedniejszej, bym miał co pić na swym weselu!”. „Sinior³⁹ się żeni?” – pytam. Aż on w śmiech i wznosi pełną: „Za pomyślność jejmościanki panny Barbary! Za pomyślność mojej donny⁴⁰ teraz, a da Bóg i na zawsze!...”.

Ława dębowa zatrzeszczała i na posadzkę runęła z łoskotem. Jasnowłosey młodzian przewrócił ją, z miejsca się zrywając. Twarz mu krwią nabiegła, oczy złowrogo zabłyły. Do Ormianina przyskoczył, za ramię go porwał, pięść zaciśniętą pod oczy mu wetknął...

– Łżesz⁴¹ waść! – głosem wrzasnął ochryplym.

Agła uciekł za beczkę...

– Jur! – zawołał biesiadnik w lisiej czapce. – Podobasz mi się. Na pohybel⁴² Włochom!

Stuknął kubkiem o jego kubek, aż się na stół nieco wylało. Tamten nie wzdragał się teraz; wypił wino duszkiem jak wodę. Kubki powtórnie zostały napełnione i powtórnie je opróżniono.

– Na pohybel Dzianowi!

Jeszcze raz wypili.

Ale się Jur opamiętał. Kubek przewrócił, usiadł, o stół wsparł się łokciami. Temperament melancholijny wziął w nim górę nad chwilowym wybuchem. Patrzył bezmyślnie na rozlane wino i milczał.

– Ocknijże się! – zawołał starszy. – Grajkom nie damy się ograć. Jakem Szczerb!

– Wyżniki⁴³ mają w ręku...

– To i cóż! Daleko im do kozernego⁴⁴ króla!

– Kto wie...

Głowę niżej zwiesił, ramiona podniósł w górę.

– Myszowski⁴⁵ z nimi – ciągnął smętnie – Bobola⁴⁶ z nimi... Pono już i do Mejerin trafili...

– Dziewki nie przekabacą!

– Kto wie...

– Ojca masz za sobą!

– Stary Szeliga daleko... Na morzach kędyś burzliwych – na oceanie... Bóg wie, kiedy powróci!

– Słowo ci dał...

³³ *dolce* (wł.) – słodkie. [przypis edytorski]

³⁴ *mało-wiele* – trochę. [przypis edytorski]

³⁵ *siła* (daw.) – dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

³⁶ *gaszek* – kawaler, chłopak. [przypis edytorski]

³⁷ *wycackany* – wypiełgowany, wymuskany. [przypis edytorski]

³⁸ *małmazja* – słodkie wino. [przypis edytorski]

³⁹ *sinior* (wł. *signor*) – pan. [przypis edytorski]

⁴⁰ *donna* (wł.) – pani. [przypis edytorski]

⁴¹ *łżać* – kłamać; tu: forma 3.os.łp: *łżesz*. [przypis edytorski]

⁴² *na pohybel* – na zgubę; *pohybel*: szubienica, rusztowanie, na którym wieszano skazańców. [przypis edytorski]

⁴³ *wyżnik* – w grze w karty: starsza karta, najczęściej trzecia co do ważności: rycerz, walet, jopek. [przypis edytorski]

⁴⁴ *kozerny* – odpowiedni; *wyżnik kozerny*: najstarsza figura w grze karcianej zw. mariaszem, pamfil. [przypis edytorski]

⁴⁵ *Myszowski Zygmunt* (1562–1615) – marszałek wielki koronny (od 1603 r.) na dworze króla Zygmunta III Wazy; popierał politykę wzmocnienia władzy królewskiej w Polsce. [przypis edytorski]

⁴⁶ *Bobola Andrzej* (1591–1657) – jezuita, kaznodzieja, zajmował się nawracaniem wyznawców prawosławia na katolicyzm; sprawował liczne funkcje kościelne; autor tekstu ślubów lwowskich króla Jana Kazimierza (uznanie Matki Boskiej za Królową Polski 1.04.1656 r.). [przypis edytorski]

– *Verba volant*⁴⁷...

– A ciotka?

– Właśnie to najgorsze: ciotka mi krzywa⁴⁸!

– O co?

– Bóg raczy wiedzieć. O herezję mię posądzają – żem to przeciw straceniu Tyszkowicza⁴⁹ gadał. Jezuitów w tym wietrzę...

– Uuuuu! – zaśpiewał przeciągle tamten, skrzywiwszy się, jakby co zgryził gorzkiego.

Zamilkli na chwilę obydwu. Gospodarz poruszył się za beczką, kluczami brzękając. Po północy było; godzina zamknięcia artykułami marszałkowskimi wskazana od dawna minęła. Już też w lampce, pod sklepieniem łukowym zawieszanej, oliwy braknąć poczynało. Knot dogasający skwierczał; cienie fantastyczne, kanciaste, drgające, pełzały po murach i beczkach, kładły się na stołach, stołkach i zaklęszej, ceglanej posadzce...

Starszy poruszył się i do gąsiorka zajrzał.

– Jur! – zawołał, trącając towarzysza. – Jeszcze kropla tu jest – ostatnia...

– Do biesa z nią! Spać chodźmy.

Wstał i wyprostował się. Pleczysty⁵⁰ był i w sobie zwięzły, musiał mieć siłę dużą. Sięgnął po kołpaczek z piórkiem i na głowie go osadził. Z kolei jął szukać czekana⁵¹. Szybkie ruchy i twarz rozczzerwieniona świadczyły, że już mu wino poczyna sięgać głowy.

– Ostatnia, mówię, kropla... – wyrzekł z naciskiem starszy.

– Spać, mówię, chodźmy! – powtórzył Jur, również z naciskiem.

Tamten podniósł się z ławy ocieźale, czapkę lisią na bok przekrzywił i żupanik jął zapinać. Chmurny był. Przywołanemu Agle rzucił pieniądz złoty z takim impetem, że moneta ze stołu spadła i między beczki się potoczyła.

– Słysz, Jurach! – jął mówić z wolna i obojętnie, sprzączkę u paska ściągając. – Pić nie chcesz; do gadaniaś nieskory; spać chodzisz z kurami... Wiesz, co ci rzekę: zostań księdzem, a Basię odstąp Dżianowi.

Jur pobladł.

– *Ad primum*⁵² – rzekł, z trudnością się hamując – wysącz no z flaszki oną kroplę.

W jednej chwili kubki zostały napełnione. Wystarczyło petercymentu na obydwu.

Jur wychylił wino duszkiem i kubek o podłogę cisnął.

– Ostatnia kropla! – zaśmiał się szyderczo.

I zaraz, jakby z tą kroplą miara jego spokoju przebrała się, wpadł w furję.

– *Ad secundum*⁵³... – krzyknął, czekana w nabrzmiałej ręce ściskając. – *Ad... se... cundum...*

Wara z takimi słowami! Druh nie druh, a łba całego nie uniesie!

I okutym kijem puścił młyńca, aż w powietrzu zagwizdało. Agła przybiegł wystraszony, ze sztabą żelazną w rękę, którą drzwi miał zakładać. Z żelazem tym stanął po stronie Szczerba, widząc, że mu niebezpieczeństwo grozi.

Ale junak z lisim czubem odepchnął Ormianina. Zaśmiał się wesoło, ramiona szeroko rozłożył i wrzasnął:

⁴⁷ *verba volant* (łac.) – słowa ulatują. [przypis edytorski]

⁴⁸ *krzywy* (daw.) – nieprzychylny, wrogi. [przypis edytorski]

⁴⁹ *Tyszkowicz Jan a. Iwan* (zm. 1611) – także: Tyszkowic, Tyszkiewicz, Tyskiewicz; arianin, za odmowę złożenia przysięgi na Trójcę Świętą (arianie nie uznawali dogmatu o trzech osobach boskich) oskarżony o bluźnierstwo i herezję, torturowany (ucięto mu język, dłoni i nogę), skazany na karę śmierci i stracony; do odrzucenia apelacji powołującej się na tolerancję religijną zagwarantowaną przez konfederację warszawską z 1573 r. i wykonania wyroku przyczyniła się żona Zygmunta III Wazy, królowa Konstancja. [przypis edytorski]

⁵⁰ *pleczysty* – o szerokich plecach, barczysty. [przypis edytorski]

⁵¹ *czekan* (z tur.) – broń ręczna, wąska siekierka a. młotek osadzony na długiej rękojeści. [przypis edytorski]

⁵² *ad primum* (łac.) – po pierwsze. [przypis edytorski]

⁵³ *ad secundum* (łac.) – po drugie. [przypis edytorski]

– Jur! Serce moje! A dajże gęby!

W tamtym petercyment działał. Nasrożył się i nie wiedział, co począć. Nagle jednak z buńczuczności stał się rzewny. Głowę pochylił, rękawem łzę otarł...

Uściskali się, ujęli pod ręce i poczęli z trudnością dźwigać się w górę po stromych i oślizgłych schodach.

– W samoś serce mię kolnął... – skarżył się Jur.

– Boś nie po kawalersku zasypiał...

– Nawet gdy śpię, przekłętника mam przed oczyma...

– *Pereat*⁵⁴!

Agła uchylił ciężko okute drzwi i najpierw sam wyrżał, czy nie ma kogo w pobliżu. Potem wymruczał niezrozumiałe pożegnanie i młodzieńców wypuścił.

Gdy wyszli, uderzyła ich wielka jasność księżyca i owiało świeże powietrze nocy. Jur zatoczył się.

– Do biesa! – rzekł. – Zdało mi się, że kamienica Wójtowska na mnie pada...

Towarzysz wsparł go ramieniem i przekrzywiony kołpaczek poprawił mu na głowie.

A gdy stali, nie wiedząc, w którą stronę kroki obrócić, dobiegły ich nagle słodkie dźwięki serenady.

⁵⁴ *pereat* (łac.) – niech zginie. [przypis edytorski]

III. Nie zawsze powraca się nocą tam, skąd się rankiem wyszło

Giano, po krótkiej przerwie, w której powietrze zdało się napęcznieć przeciągłym szmerem zachwytu, nową rozpoczął zwrotkę.

Dite, rose preziose,
Amorose,
Dite...

Nie skończył...

Straszne przekleństwo zahuczało mu nad głową, a potężne uderzenie czekana rozbiło mandolinę w drzazgi. Zanim zaś jeszcze ochłonął z przestachu, już żelazna głowica czekana raz i drugi zaświstała w powietrzu tuż nad jego uchem.

– *A l'assassino*⁵⁵! – krzyknął i ze zwinnością lamparta na bok uskoczył.

Dla nacierającego było to fatalne. W szalonym rozmachu, nie znalazłszy oparcia, stracił równowagę i omal nie runął.

Pochylił się jednak tylko i przyklęknął na jedno kolano, czekana z rąk wypuszczając. A w tej chwili przed samymi oczyma mignęło mu błyskawicą ostrze sztyletu...

– A! – krzyknął i powieki same mu się przymknęły, a ręka ruch ochronny wykonała.

Błyskawica jednak nie spadła. Zamiast na dół lecieć, cofnęła się nagle w górę. Ognistą a drżącą linię zakreśliła w powietrzu i, na kształt racy gasnącej, zniknęła w kierunku przeciwnym.

– Diable syny! – rozległ się głos gniewny razem i szydery. – Wprzód graliście, teraz tańczcie!

Jednocześnie wynurzył się z mroku Szczerb. Lewą ręką przewalał on na wznak Giana, ciągnąc go z tyłu za kołnierz; prawą dusił za gardło na pół nieprzytomnego Luke, któremu oczy na wierzch już wychodziły.

A musiał mieć w rękach moc niezmierną, bo twarz jego uśmiechnięta i zadowolona wysiłku najmniejszego nie zdradzała.

Zaraz też porwał się z ziemi Jurach, czekana upuszczony podjął i z pomocą biegł przyjacielowi.

Zanim jednak dobiegł, stała się rzecz niepojęta.

Roześmiana twarz Szczerba wykrzywiła się nagle kurczem strasznym, ręce obezwładnione wypuściły wrogów, a z ust wybiegł jęk bolesny... Młodzieniec przegiął się całym ciałem w tył, potem sztywno wyprostował się i okropnie zakławszy, z odczepionym od pasa czekaniem rzucił się poza siebie w uliczkę.

W mroku, na kształt gada, pełznął tam Fabio z okrwawionym sztyletem w dłoni...

Doskoczył do niego, za ramiona porwał i na nogi postawił...

– Zbóju! – wrzasnął. – Niewarte⁵⁶ lepszej broni!

I przerzucając czekana do lewej ręki, prawą, w pięść ściśniętą, wymierzył mu potężny cios między oczy.

Włoch krwią się zalał i na miejscu okręcił. Potem sztylet podniósł w górę i wywijając nim wściekle rzucił się na oslep na przeciwnika.

– Jezus, Maria, Józef! – rozległ się w tej chwili w górze krzyk niewieści. Brzęknęły drzwi gwałtownie zamykane i dwie białe postacie, jak dwa ptaki, z belwederku pierzchnęły⁵⁷.

⁵⁵ *a l'assassino* (wł.) – na mordercę (przekleństwo). [przypis edytorski]

⁵⁶ *niewarteś* – nie jesteś wart. [przypis edytorski]

⁵⁷ *pierzchnęły* – dziś popr.: pierzchnęły. [przypis edytorski]

Wszystko to nie trwało dwóch minut.

I dopiero teraz rozpoczęła się walka właściwa, obustronna.

Zaułek zawrzał krzykami dzikimi, furia już bowiem opanowała jednych i drugich. Włosi walczyli po tygrysiemu, skacząc i odskakując; nasi, jeśli nie szli naprzód, stali twardo w miejscu. Ale wino ich mroczyło i większa część ciosów ginęła w próżni. Tamci natomiast, wysuwając noże na kształt żadeł, nieraz nimi to Juracha, to Szczerba po bokach kęśli. Krew jednak płynęła i po ich stronie. Jur dojechał raz Gianowi od serca i gdyby żelazo nie oślizgnęło się po aksamitnym berecie, już by może było po Włochu. Ale i tak lewe ramię opadło mu bezwładnie i do ziemi przysiąść musiał z bólu. Szczerb załatwiał się z dwoma tamtymi. Rozdzielając ciosy między obydwóch, podśpiewywał i drwił. Głowicą grzmocił Lukę, a Fabia tylko drzewcem okładał.

– Na psa szkoda żelaza! – powtarzał szydząc.

Do Luki zaś mówił:

– Poć się, brzuchalu, sadła się pozbędziesz...

Albo pokpiwał:

– Knot przez ciebie przeciągnę, lampę będę miał wieczną...

Gdy go zaś ów w żywe ciało kolnął, przeklinał:

– A ropucho! A tworze z kości wieprzowych! A pokrako, na obrazę i niepodobieństwo boskie stworzona!

Krew ciekła tu i tam. Z pstrej odzieży włoskiej strzępy latały po powietrzu. Po narzędziach muzycznych, rozbitych i stratowanych, deptali stopami walczący.

Szczerb poczuł raptem, że słabnie. Aby nie dać się wziąć z tyłu, pod parkan się cofnął i plecyma⁵⁸ wsparł się silnie o deski. Tamtych to rozzuchwaliło. Docierać doń jęli coraz bliżej, jak ogary do ranionego odyńca...

Nagle u wejścia do uliczki zagrzmiął głos tubalny:

– W imieniu Jego Miłości Marszałka Wielkiego Koronnego!

Walczący ani spojrzeli w tę stronę.

Głos zahuczał bliżej:

– W imieniu Jego Miłości... w hareszt⁵⁹ biorę waszmościów!

I to ich nie poruszyło.

Wówczas rozległa się komenda:

– Węgry marszałkowskie naprzód!... Milicja we środek!... Oszczepnicy na boki!... Rozbroić rebeliantów!

Ku walczącym pogarnęła się⁶⁰ gromada ludzi cudacznie wyglądających. Jedni nieśli muszkiety⁶¹, inni wystawiali przed się klucie⁶², tamci machali oszczepami, a owi podnosili w górę dardy⁶³. Szli bez ładu i składu, przepychając się, wadząc i mimo srogiego uzbrojenia, tchórzząc widocznie. Istne wojsko Heroda z jasełek. Część miała kierezje⁶⁴ białe i niebieskie, sznurkami wyszywane i zapinane na haftki; część, krócej odziana, zadziwiała pstrokacizną barw, wśród których czerwona z zieloną najczęściej były pomieszane.

W krótkiej chwili czereda zapchała uliczkę.

Dopiero to koniec położyło zapasom.

⁵⁸ *plecyma* – dziś popr.: plecami. [przypis edytorski]

⁵⁹ *hareszt* – areszt. [przypis edytorski]

⁶⁰ *pogarnąć się* – tu: zbliżyć się. [przypis edytorski]

⁶¹ *muszkiet* (z fr.) – ciężka strzelba lontowa, gładkolufowa, ładowana odprzodowo. [przypis edytorski]

⁶² *kluc* – pika, dzida. [przypis edytorski]

⁶³ *darda* (z fr.) – pika zakończona metalowym grotom. [przypis edytorski]

⁶⁴ *kierezja* – długie ubranie sukienne, sukmana. [przypis edytorski]

Rozbrojenie poszło bez trudności – z tej choćby racji, że napastnicy w tłoku niezmiernym ani ręką, ani nogą poruszać nie mogli. Było to nie ugaszenie pożaru, ale raczej przyduszenie go. Wory piasku rzucane na płomień ten sam skutek wywołują.

Jur, którego energia już się wyczerpała, bez oporu dawał powodować sobą. Włosi natomiast miotali się i klęli, dowodząc, że straż gwałtu się na ich osobach dopuszcza.

– My cudzoziemcy! – krzyczał Giano łatając rodzinną włoszczyznę łaciną. – My królewscy! Nad nami tylko *signor* Myszkowski... My tylko *signora* Myszkowskiego znamy i słuchamy!...

– *Benissime*⁶⁵! – uspokajał go dowódca, człek brzuchaty, z potężnym nosem i brodą Ajaksa⁶⁶, obwieszony dokoła żelastwem jak mur zbrojowni albo wystawa mieczownika. – Właśnież my nie co innego, jeno sługi marszałkowskie...

Po małej chwili zapaśnicy byli już rozbrojeni i wzięci pomiędzy halabardy, piki i muszkiety. Ale dowódcę spotkała niespodzianka. Zarzucił sieci na pięciu, a złowił w nie – trzech. Dwaj przepadli bez śladu...

Na dany rozkaz straż zapaliła pochodnie. Jaskrawe, czerwone światło rozlało się po zaułku. Wynurzyły się z cienia wszystkie spadzistości i załomy. Po prawej stronie zarysował się parkan z kilkorgiem wychylonych wierzchem drzewek; po lewej kawał muru szczerbatego i jakiś budynek nietynkowany, z wybitymi oknami. W głębi krwawy odbłask padł na Białą Wieżę, wąską a wysoką, która była zarazem bramą miejską i basztą obronną. W okienkach jej drobnych i we wrotach, kratą przejrzystą zasłoniętych⁶⁷, czerwieniły się twarze i połyskiwała broń zwabionych hałasem strażników.

Przetrząśniono⁶⁸ cały zaułek – zbiegów nigdzie ani śladu. Zapadli się w ziemię, w dym rozplynęli, z iskrami pochodni ulecieli i zgaśli...

– Czartowska sztuka! – szeptano w tłumie.

Ten i ów znak krzyża zrobił na piersiach. Nawet dowódca usta szeroko otworzył i przez długi czas zamknąć ich nie mógł.

– Ha! – westchnął wreszcie, nie wychodząc z zadumy. – I to się zdarza. Przez dwie doby nie jeść, w żywym źródle się wykapać, psalm pewny siedem razy odmówić i oczy mocno zawrzeć... Uczył mnie tego rabin jeden...

Ale ocknął się nagle i za nos długi pociągnął.

– Tfy! Co też ja gadam! Święty Krzysztofie, patronie mój, zmiłuj się nade mną! Jutro krzyżem będę leżał, tak mi Boże dopomóż. A teraz: węgry! milicja! pacholki! Sformować się i w drogę!

Czereda wysypała się z zaułka, uprowadzając z sobą Juracha, Giana i Lukę.

Rąk jej uszli: Szczerb i Fabio.

Oddział miał przed sobą krótką drogę, bo tylko przez jedno z ramion Krzywego Koła. Mimo to nie przeszedł niepostrzeżony. Wrzawa nocna zrobiła swoje: wiele okien było otwartych, tu i ówdzie kupiły się gromadki mieszczan, do połowy tylko odzianych. Pytano, czyniono uwagi, pokrzykiwano.

A najpierw powitała więźniów owa para szewców czy cieśli, włócząca się przed godziną po Dunaju.

– Do Jazdowa z nimi! Do zwierzyńca – szydził weselszy, palcem wytykając Włochów. – Król Jegomość będzie miał zabawkę...

Tym razem nie ustępował mu i towarzysz.

– Włoska zaraza! – wykrzykiwał – Truciciele! Zbójniki! Do kuny⁶⁹ ich zamknąć, ludowi na pastwę oddać. Niech im przekupki zgniłymi jajami trefione⁷⁰ łby maszczą⁷¹!

⁶⁵ *benissime* (łac.) – doskonale. [przypis edytorski]

⁶⁶ *Ajaks* – imię greckiego bohatera wojny trojańskiej, znanego z *Iliady* Homera. [przypis edytorski]

⁶⁷ *zasłonięty* – dziś popr.: zasłonięty. [przypis edytorski]

⁶⁸ *przetrząśniono* – dziś popr.: przetrząśnięto. [przypis edytorski]

⁶⁹ *kuna* – żelazna klatka umieszczona na rynku, w której zamykano za karę drobnych przestępców, wystawiając ich na publiczne zniewagi. [przypis edytorski]

⁷⁰ *trefiony* – wymyślnie uczesany, wypielegnowany. [przypis edytorski]

- Wysmagać te ulizane prosięta!
- Potopić!
- Niechęć udzieliła się i innym.
- Precz z Włochami! – zawołał ktoś w tłumie. – Struli nam jednego pana, dybią na drugiego.
- Za Radziwiłównę im zapłacić!
- Za Zygmunta!
- Za ostatnich Mazowieckich!
- Tłum gęstniał – szemranie wzrastało – krzyki padały jak bomby...
- Niech szczeźnie⁷² włoskie plemię!
- Niemieckie też!
- I Szwedów nam nie trzeba!
- Precz z Bobolą!
- I z panną Orszulą!
- I z Myszkowskim!
- *Silentium*⁷³! – zagrzemiał dowódca straży. – *Crimen lesae Mareschali*⁷⁴. Węgry! Milicja!

Oszczepnicy... przyspieszyć kroku!

Przez okna otwarte wychylali się otyli mieszczenie. Ci, nie wiedząc, o co chodzi, dopatrywali się winy w naturalnym swym wrogu: szlachcie.

– Podobno wojewodzińscy spichrz miejski napadli – opowiadał sąsiad sąsiadowi – szlachetnego patrycjusza zakłuli, dziewczkę uczciwą porwali, dwóch pacholków zastrzelili...

- Nauczyć ptaszków moresu! Sąd „gorący”⁷⁵ nad nimi sprawić! Na gardle pokarać⁷⁶!
- Dość już tej hańby! Mamyż czekać, aż na smyczę⁷⁷ nas wezmą?
- Bodajby im kat żelazem herby powypalał⁷⁸!
- Nocy nie ma jednej, żeby bałuch⁷⁹ przez nich nie wynikł...
- Nie dość im, że frymarczą⁸⁰ kryjomo⁸¹, ceł nie płacą, na szkodę kupiectwa działają...
- Albo te ich jurydyki⁸²! Rządy w rządzie, miasta w mieście – urągowisko prawu i obyczajowi!
- Uprzywilejowani!
- Ciemieżcy!
- Oligarchowie!
- W miarę jak oddział się zapuszczał, głosy uspokajały się i cichły.
- Pogoda będzie jutro... – ozwał się ktoś, ziewając.
- Na Piekiełko pójdziemy – czarownicę oglądać na stosie...
- Ja do Fary⁸³ – ksiądz Skarga⁸⁴ dosalać ma senatorom...

⁷¹ maścić – smarować, nacierać. [przypis edytorski]

⁷² szczeźnać – umrzeć, zginąć. [przypis edytorski]

⁷³ silentium (łac.) – cisza. [przypis edytorski]

⁷⁴ crimen lesae Mareschali (łac.) – zbrodnia obrazy marszałka. [przypis edytorski]

⁷⁵ sąd „gorący” – sąd odbywający się niezwłocznie po schwytaniu przestępców na gorącym uczynku. [przypis edytorski]

⁷⁶ na gardle pokarać – wykonać karę śmierci. [przypis edytorski]

⁷⁷ smyczę – dziś popr. forma B.lp: smycz. [przypis edytorski]

⁷⁸ kat żelazem herby powypalał – jedną z daw. stosowanych kar było wypalanie hańbiącego piętna przestępcom; herb tu iron.: piętno. [przypis edytorski]

⁷⁹ bałuch – wrzawa, zgielk, hałas. [przypis edytorski]

⁸⁰ frymarczyć – handlować. [przypis edytorski]

⁸¹ kryjomo – po kryjomu. [przypis edytorski]

⁸² jurydyka (z łac.) – enklawa wyjęta spod prawa miejskiego; jurydykami były tereny położone pod miastem lub w jego obrębie, należące do szlachty a. duchowieństwa. [przypis edytorski]

⁸³ fara (z niem.) – kościół parafialny; tu: kościół św. Jana, dzisiejsza katedra. [przypis edytorski]

⁸⁴ Skarga Piotr (1536–1612) – jezuita, kaznodzieja nadworny Zygmunta III, czołowy przedstawiciel kontrreformacji, zwolennik ograniczenia uprawnień sejmu i umocnienia władzy królewskiej; piętnował wady polskiej szlachty. [przypis edytorski]

- Daj mu Bóg zdrowie. Dobranoc, kumie Macieju!
- Śpijcie z Bogiem, kmotrze Stanisławie.
- Okna zamknięto.

Tymczasem straszny z pozoru pachół, z rohatyną⁸⁵ zębatą w ręku, wiodący Jura „pod haeszt”, nachylił się doń i mówił płacząco:

- Matula dobrodziejka srodze się zmartwi... oj!
- Znasz matkę? – zapytał tamten zdziwiony.

– Co nie mam znać. Tociem⁸⁶ wychowanek nieboszczyka Zawiślaka, tatula waszego. Panisko mnie nie poznał? Frącek Chrzan jestem.

- Zmieniło cię przebranie. Ale to i lepiej, żeś miejski.
- To się wie. Klucznik mój krewniak – głodu panisko nie dozna...
- Bóg ci zapłać, Frącku.
- A u matuli jutro będę...
- Bądź. Ale prawdy jej nie mów. Powiedz, że mnie magnat jeden wywiózł – robotę dał pilną...
- Stać! – rozległ się w tej chwili grzmiący głos dowódcy.

Frącek minę groźną przybrał i rohatyną wojowniczo potrząsnął. Straż, wlokąca się krętym i ciemnym zaułkiem, zatrzymała się w miejscu.

Więźniów wprowadzono do Wieży Marszałkowskiej.

Nie była zaś wówczas Wieża Marszałkowska niczym innym, jeno Wieżą Okrągłą, na załomie muru obronnego od strony Wisły stojącą.

⁸⁵ *rohatyna* (z czes.) – rodzaj włóczni. [przypis edytorski]

⁸⁶ *tociem* – toć jestem; przecież jestem. [przypis edytorski]

IV. Basia

Imć pan Balcer *alias*⁸⁷ Baltazar Szeliga od półrocza już przeszło poza domem przebywał. Trzymały go w cudzych krajach sprawy handlu, który przez lat trzydzieści z pożytkiem dla siebie i miasta swego prowadził.

Szeliga był to mąż „uczony, pokaźny i rozgłośny” (*honestus, spectabilis, famatus*). Obyczajem ówczesnym pisał się Sheliga albo Scheliga. Handel odziedziczył po ojcu, dzielił go zaś z bratem Janem. Ten ostatni, że był zdrowia słabego, więcej ksiąg się pilnował niż łockia. Do trzech epitetów wymienionych dodało mu to jeszcze czwarty: *illustris*⁸⁸.

Balcerowi temperament i peregrynacje⁸⁹ częste nie pozwalały urzędów magistrackich sprawować. Natomiast Jan oddał się im niepodzielnie. W r. 1607 widzimy go w kole ławniczym: za burmistrzostwa Mikołaja Majerana, a podskarbiostwa Stanisława Baryczki. W 1617 jest już rajcą i szafarzem. We dwa lata później osiąga godność najwyższą, obierają go bowiem „prokonsulem”, czyli burmistrzem.

Szeligowie kupczyli bławatami. Pod krótkim tym określeniem rozumieć trzeba sferę niezmiernie rozległą. Należało do niej wszystko, co w wieku owym mianem „kupi tkaney” oznaczano. A także wszelkie rodzaje sukien i płótna przeróżne.

Mieli oni kram najpokaźniejszy w Ratuszu; mieli drugi przy ulicy Grodzkiej. Składy ich wielkie i zawsze pełne mieściły się w kamienicy Balcera w Rynku. Liczono Szeligów do mieszczan najzamożniejszych, do patrycjatu Starej Warszawy.

Prócz dwóch braci była jeszcze siostra. Od obu starsza i już niemal sędziwa, w panieństwie pobożnego żywota dokończyła. Eufemia było jej na imię; Ofką ją nazywano.

„Ciocia Ofka”, choć z pozoru praktykom religijnym całkowicie oddana, a przy tym przez pół ciemna i jak wianek zeszlóroczny wyschnięta, miała jednak głowę w rodzinie najtęższą. Miała też podobno i największe kapitały. W ogóle głos jej w rodzinnym trybunale Szeligów ważył najwięcej.

Jan był bezżennikiem⁹⁰, Balcer zaś wcześniej owdowiał. Ofka mieszkała przy ostatnim, matkując jedynaczkę jego Basi.

W domu wdowca zwyczajnie panowały patriarchalne. Z cnót potocznych najbujniej w nim kwitły: pobożność i pracowitość. O tej ostatniej powiedzieć by można, że była niemiecka. Co prawda, nie to jedno tylko niemieckością tam trąciło – ale czyż mogło być inaczej?...

Szeligowie drzew genealogicznych nie rysowali, rodzinne zaś ich tradycje nie sięgały dalej nad cztery do pięciu pokoleń. Znaczący to niewiele więcej nad jedno stulecie. A tymczasem, któż wie, czy po gałązkach rodowych na dół się opuszczając nie znalazłoby się korzenia tkwiącego w ziemi – niemazowieckiej⁹¹...

⁸⁷ *alias* (łac.) – inaczej. [przypis edytorski]

⁸⁸ *illustris* (łac.) – oświecony. [przypis edytorski]

⁸⁹ *peregrynacja* – podróż. [przypis edytorski]

⁹⁰ *beżżennik* – stary kawaler. [przypis edytorski]

⁹¹ *czy po gałązkach rodowych (...) nie znalazłoby się korzenia tkwiącego w ziemi niemazowieckiej* – o przypadek ten zresztą nie było podówczas trudno. Zdarzyć on się mógł większości rodów mieszczańskich. Skądże bo one wyrosły, jeśli nie z płonek [*płonka*: gałązka, szczep; red. WL] obcych, głównie i przede wszystkim niemieckich? Jak do niedawna jeszcze kupiec i Żyd, tak przy narodzinach mieszczaństwa naszego kupiec i Niemiec znaczyli jedno. A w miejscu tym znów wraca pytanie: czyż mogło być inaczej? Tak jest, czyż mogło być inaczej tam, gdzie w narodzie widziano dwa tylko rodzaje ludzi: rycerza i kmiecia? Ścisłej mówiąc, człowieka widziano tylko w rycerzu, czyli szlachcicu. Kmieć był dla rycerza tłem, podścieliskiem, oprawą. Znoszono go, boć i najpiękniejszy kwiat nie obejdzie się bez nawozu. Na mieszczanina po prostu miejsca nie było. Przyszedł on z Niemiec i był Niemcem. I nie tylko był, ale być musiał. Przed swoimi prawną postawiono tu zagrodę. Cóż za dziw przeto, że w złotej księdze mieszczaństwa Starej Warszawy tak gęsto błyszczą nazwiska niemieckie! Cóż za dziw, że się tam co krok spotyka: Ginterów, Mejerów, Bucholców, Gissów, Wittów, Withoffów, Fuggerów, Sztyców, Kleinpoldów, Fiszerów, Szlichtyngów, Plumhoffów, Zajdlców, Landsbergów, Mincerów, Knabów i Szulcendorfów! Mieszczaństwo nasze to spław wielu metali. Spław ścisły i do rozbioru trudny. Metale owe do jednego tygla rzucone wrą, pryskają i skwierczą, ale gdy już ostygły, jednolita powstaje z nich masa. Nie na Niemcach bowiem domieszki

Co się tyczy Szeligów, pewne jest to tylko, że się kilkakrotnie z rodzinami o niemieckim nazwisku koligacili. W kolei czasów wchodziły do ich domu: Korbówny, Gissówny, Fukierówny. Było to zwyczajne podówczas i nieuniknione. Szlachcianki gardziły mieszczanami, mieszczanie gardzili kmieciównami. O ile więc który z nich nie przywiózł sobie małżonki z obczyzny, brać ją musiał z ciasnego obrębu Starej lub Nowej Warszawy. Ale i tu nawet (o wieczna ludzkiej próżności komedio!) rzadko przychodziło do łączenia się dwóch połów jednej całości. *Civis Antiquae Varsoviae*⁹² spoglądał z góry na ziomka zamieszkującego *Novam Varsoviam*⁹³. Do osobliwości też liczyło się, by przed ołtarzem stawali: oblubieniec z tej strony Bramy Nowomiejskiej, a oblubienica z tamtej.

Z wolna też patrycjat Starej Warszawy przetwarzał się w jedną wielką rodzinę. Już to byli nie tylko współobywatele, ale kumowie i powinowaci. Związek też ich odznaczał się niezmierną spoistością. Drzewo genealogiczne jednego bywało drzewem genealogicznym wszystkich⁹⁴.

Miała więc w sobie i Basia Szeliżanka niemieckości dziedzicznej sporo. A nie była to niemieckość spokojnych równin Brandenburgii ani zdrzemniętego przy szumie fal Pomorza, ani wreszcie lisich, złowrogich nor pruskich. Wiała od niej poezja Czarnego Lasu i zamków nadreńskich. Minnesingerów⁹⁵ najczulsze pieśni widok jej na myśl przywodził.

Była to zaś dopiero jedna istoty tej wybranej połowa.

W drugiej uosabiała się wszystko, co najpiękniejszego posiada Mazowsze.

Basia rozmodlona, z liczkami bladawymi, z oczyma spuszczoneymi, z twarzą cieniem długich rzęs omroczoną, przypominała aniołów Dürera⁹⁶. Ale Basię, którą chochlik szesnastu lat rozswawolił, której buzia rumieńcem dziewczym się oblała, której oczy gorącym promieniem zdrowia i młodości strzeliły, przyrównać wypadało do jagody, do maliny, do róży, do boginki wreszcie słowiańskiej, której śmiech kaskadą pereł rozsypuje się po świeżej, wonnej łące.

Basia należała do tych mieszczek, które w znawcach herbowych podziw i niedowierzanie budzą. „Możliweż to – mówili – aby z plebejuszowej płonki kwiat taki wystrzelił!” Za wąż się ciągnęli, podśmiewali, oczyma myśl tajoną dopowiadali. „A onaż Szeligowa – zagadywał niejeden – niewiasta była gładka? A czy była też dworska i krotofilna? A braci szlachty dość u nich bywało? A gamratować⁹⁷ z gospodynią lubili?...”

Z ponęt cielesnych dwie miała Basia najcudniejsze: oczy i włosy. Z ponęt duchowych jedną, która jednak za wiele innych starczyła: słodycz niezmierną rozlaną w twarzy, w mowie, w obejściu się całym. Dziś nazywamy to kobiecością.

się kończą. Przerzucamy kronikę Starej Warszawy z XVI i XVII stulecia i wychylają się z niej do nas ludzie wszelakiej narodowości. Są tam Włosi: Zappio, Bandinelli, Gianotti, Mokollini, Mariani; są Francuzi: Szerzant (pisownia współczesna), Sakres, Chevalier; są Ormianie: Minasowicz, Augustynowicz; jest Holender: Horlemes; są Szkoci: Czamer, Czorn, Lermunt. Ostatni zresztą bawi tylko gościnnie. Wszystkie te nazwiska wzięte są z najwybitniejszych. Nosila je magistratura, kupiectwo wyższe, właściciele domów w mieście i folwarków poza miastem. W żadnym też dziale nazwiska te nie wyczerpują listy. Łańcuch ich, zwłaszcza z ogniwami niemieckimi, dwakroć jeszcze dłuższym można by uczynić. Na oceanie tym zjawiają się jako *rari nantes* [*rari nantes* (łac): nieliczni pływający; nieliczni ocalańcy; por. Wergiliusz, *Eneida* I, 118; red. WL]: Baryczkowie, Falkiewicz, Długosze, Drewnowie, Wolscy, Łukasiewicz, Rembowicze, Wilki, Mrozy itd. Nieliczni, ale krzepcy, trzymają się na powierzchni. Potem zastęp ten zwiększa się; nigdy jednak przewagi liczebnej nie zdobywa. Zresztą mozaika ta jest tak misternie ułożona i dopasowana, że z pewnej odległości czyni wrażenie obrazu jednolitego. Czas wypełnia i zacierza maleńkie przerwy pomiędzy kamykami i kładzie na wszystkim jednostajną polewę. Po kilku dziesiątkach lat nikt już nie myśli o tym, że szlachetny Marian zwał się niegdyś Marianim, Dzianot Gianottim, Giza Gissem, Liść Leistem itp. Zyskuje na tym harmonia obrazu, a i kamykom krzywdą się żadna nie dzieje. [przypis autorski]

⁹² *Civis Antiquae Varsoviae* (łac.) – obywatel Starej Warszawy. [przypis edytorski]

⁹³ *Novam Varsoviam* (łac.) – Nową Warszawę. [przypis edytorski]

⁹⁴ *Drzewo genealogiczne jednego bywało drzewem genealogicznym wszystkich* – kto ciekawy, może dziś jeszcze odczytać ryte w marmurze słów tych potwierdzenie. Znajduje je w rynku staromiejskim, na tablicy wmurowanej we front domu ongi baryczkowskiego. Spotka tam powiązane w jednym napisie nazwiska i rody: Baryczków, Marianów, Kulskich, Fukierów, Bartolów i innych. Jak w gąszczu leśnej, konary rodów zaplątują się tak mocno, że drzewa od drzewa nie odróżnisz. [przypis autorski]

⁹⁵ *Minnesinger* (z niem.) – niem. odpowiednik trubadura; średniowieczny poeta i śpiewak. [przypis edytorski]

⁹⁶ *Dürer, Albrecht* (1471–1523) – malarz niemiecki. [przypis edytorski]

⁹⁷ *gamratować* – zalecać się, swawolić. [przypis edytorski]

Włosy Basi, bardzo długie, bardzo gęste i bardzo miękkie, miały barwę jasnego bursztynu. Nosiła je zwykle rozpuszczone i obrączką złotą opięte. Gdy na włosy te padł promień słońca, zdawały się otaczać głowę nimbusem⁹⁸ świetlanym.

Co się tyczy oczów, były one bardzo duże i bardzo piękne. Ale byłyż modre, szare czy zielonkawe? Nikt barwy ich nie znał na pewno. Najpierw dlatego, że barwa mieniła się w tych oczach nieustannie, jak w opalu; następnie, że rzadko komu danym było w nie się wpatrywać.

Można było Basię znać długo, a jednak oczu jej ani razu nie widzieć.

Dziewczyna miała zwyczaj (przez naturę dany lub może przez ciocię Ofkę podszeptany), że niemal bezustannie trzymała oczy w ziemię spuszczone i rzęsami długimi zakryte. Na ulicy, w kościele i w każdym tłumniejszym zebraniu nikt jej z oczyma podniesionymi nie widywał.

Gdy wyprzedzając sparaliżowaną ciotkę i objuczonego książkami modlitewnymi pacholika szła (właściwiej byłoby powiedzieć: płynęła) do Fary, ze złożonymi na piersiach rękami, ze wzrokiem opuszczonym, w toczku z aksamitu błękitnego na jasnych włosach, w przepasce perłowej na czole, w lekkim, białym, całą postać opływającym kwefie, wyglądała jak cherubin z malowanego okna starej gotyckiej katedry.

W domu, dla swoich, była inną. Złote włosy w warkocz grubo zaplótłszy, suknię wdziawszy z materii kwiecistej we dwa różne wzory, na ręce po łokieć obnażone maneli⁹⁹ złotych nakładłszy, a nóżki maleńkie w aksamitnych patynkach uwięziwszy, była już nie po anielsku, ale po kobiecemu piękna i ponętna jak ptak rajski, jak wonny owoc, jak cukierek...

Urabiały ją dwa różne wpływy: ojca, który jedynaczkę pieścił aż do ubóstwienia, i ciotki, która mówiła jej wciąż o chrześcijańskiej pokorze i o ekstazach najwyższych, jakie daje modlitwa. Była więc Basia: wykwintna w upodobaniach i obłonek puchowych w życiu potrzebująca, ale zarazem gotowa ze wszystkich ponęt świeckich uczynić ofiarę, gdyby od niej tego w imię religii zażądano. Bywały dni, w których za przykładem ciotki nie wahała się pod jedwabną koszulką włosienicy ukrywać kolczastej. Do dziwów to zresztą w owe czasy nie należało.

Ciotka Ofka, jakkolwiek prawie wcale zmysłami nie żyjąca, miała wszakże jedną ziemską namiętność, którą siostrzenica od niej przejęła. Co prawda, było w owej namiętności tyleż ziemi, co nieba, stanowiło ją bowiem: zamiłowanie w muzyce.

Basia grywała na lutni i na klawikordzie, który nazywano podówczas *cembalo*. Ale spod palców jej nie dobywały się inne pieśni, jak tylko nabożne. Niemal w każde świąteczne popołudnie cała rodzina Szeligów przysłuchiwała się pieśniom tym w zachwycie. Nikogo wszakże skrzydła ekstazy nie unosiły tak wysoko, jak samą grającą i ciotkę.

A nie tylko muzyki wyuczono dziewczynę. Taniec i śpiew również jej obce nie były. Malowała nawet po trosze – jedwabiami barwnymi na krosnach. Prócz tego mówiła dobrze językiem niemieckim, który był niezbędny, i językiem włoskim, który był modny. Wreszcie znała o tyle łacinę, że mogła być modlić się z książki łacińskiej i rozumieć w książkach polskich łacińskie sentencje.

Piękna, miła, rozumna i bogata, powinna była mieć wielu zalotników. Nie miała ich jednak. Szkodził jej właśnie nadmiar przymiotów. Był to kwiat zbyt wytworny, aby śmiano rękę po niego wyciągać. Przy tym za wiele w niej było tego, co byśmy dziś nazwali „idealnością”, a w czym podówczas nie smakowano.

– To święta... – mawiali jedni. – W ramki ją oprawić, lampką z Loretu¹⁰⁰ oświetlić i modlić się do niej – z daleka...

– Szeligowie nie dadzą córki mieszcankowi – twierdzili inni – Baryczce chyba albo z Gissów któremu...

⁹⁸ *nimbus* (z łac.) – aureola. [przypis edytorski]

⁹⁹ *manela* (z wł.) – bransoleta. [przypis edytorski]

¹⁰⁰ *Loret* – właśc. Loretto, miasto we Włoszech związane z kultem Matki Boskiej, cel pielgrzymek wiernych katolickich. [przypis edytorski]

– Będzie, co przeznaczono! – kończyli starzy. – Przyjdzie taki, co dziewczę i wiano zabierze.
Byle był nasz – boć szkoda bogactw takich za mury wypuszczać...

V. Będzie, co przeznaczono

– Siniora i sinorina¹⁰¹ pozwolą?...

Jednocześnie z tymi słowami ręka, jedwabnym rękawem opięta, wykonała ruch od chrzcielnicy do dwóch przeciskających się przez tłum niewiast i wyciągnęła ku nim białe, opierścienione palce, w wodzie święconej zmaczane.

Właśnie bowiem ręce niewiast ponad głowami tłoczących się w kruchcie osób wyciągały się w daremnym wysiłku w stronę marmurowej konchy, wodą ową napełnionej.

Jedna z tych rąk była rączką, druga rączyskiem. Pierwsza, w złotonitnej półrękawicze, maleńka, wąska i zakończona paluszkami o rubinowych paznokietkach, należała widocznie do młodej i pięknej dziewczyny. Druga, całkowicie z futrzanego mieszka wydobyta, duża, koścista i żółta, pomarszczoną skórą obciążnięta, była jedną z tych rąk bezpłciowych, jakie może mieć równie dobrze mężczyzna, jak niewiasta – pod warunkiem, że będą oboje starzy.

Przez chwilę troje tych rąk tkwiło nieruchomo w powietrzu. Potem rączka zaczepiona wykonała lekliwy ruch wstecz, ręka zaś zaczepiająca lekko zdrzała. Wreszcie kłopotliwą niepewność przecięło rączysko, które woskowymi palcami dotknęło najpierw ceremonialnie ręki, a następnie dotknięcie to – ciepłe jeszcze, rzecz by można – przeniosło pospiesznie na rączkę. Dopełniwszy tego, wszystkie ręce powróciły do swych właścicieli, przy czym najpowolniej i najniechętniej dopełniła tego ręka w jedwabnym rękawie.

Działo się to w pewne słoneczne, niedzielne południe, zaraz jakoś po wyruszeniu sławetnego Balcera Szeligi w drogę.

Zaledwie ręka i rączysko wy dostały się z tłoku i przed kościół wyszły, pozdrowiono je słowami:

– Służby moje waszmościankom oddaję. Niech będzie pochwalony!

Stary Drewno, rajca magistratu, w rozpiętej, suto szamerowanej delii¹⁰², podpierając się laską o wielkiej złotej gałce, do niewiast przystąpił.

– Na wieki! – odrzekły obie głosami cienkimi.

– Dworsko znalazł się lutnista – niech go kaci! – ciągnął stary, nogami ociężale suwając.

– Lutnista! – wyrwało się młodszej, w rodzaju westchnienia razem i zapytania.

Zaraz też zakaszłała, jakby chcąc wrazenie słowa nieumyślnego zatrzeć.

– Toć widziałem – powtórzył rajca. – Giano Baldi, śpiewak dworski, pierwszy lutnista farskiej kapeli¹⁰³. Schodził właśnie z chóru, gdzie na *Offertorium*¹⁰⁴ swe włoskie rulady odśpiewał...

– Stateczny jakiś kawaler – zauważyła przez nos druga. – Umie starość uszanować...

Znów zakaszłano – ale tym razem w sposób odmienny.

W parę dni później podagryczny *maestro*¹⁰⁵, który Basię gry na lutni uczył, poprosił, by go na czas pewien od lekcji zwolniono. Tłumaczył się słabością i potrzebą kuracji, wreszcie przyrzekł, że przyśle zastępcę.

Zastępcą był Giano.

Do domu bogatego mieszczanina wślizgnął się pokorny, wpół zgięty i dla Basi prawie że obojętny, a natomiast afektem darzący Ofkę. Przyjęto go z atencją, należną artyście i dworzaniowi. Atencji okazał się godnym, umiał bowiem roztoczyć uroki człowieka światowego, popisać się wykształceniem, koligacjami świetnymi i zamożnością.

¹⁰¹ *siniora, sinorina* (z wł.) – pani, panna. [przypis edytorski]

¹⁰² *delia* (z tur.) – długi płaszcz z obszernym kołnierzem, podbity futrem. [przypis edytorski]

¹⁰³ *farska kapela* – kapela grająca podczas nabożeństw w farze; tu: w katedrze św. Jana. [przypis edytorski]

¹⁰⁴ *Offertorium* (łac.) – ofiarowanie; tu: część katolickiej mszy św., ofiarowanie chleba i wina. [przypis edytorski]

¹⁰⁵ *maestro* (wł.) – mistrz. [przypis edytorski]

Ofkę ujął przede wszystkim dewocją wielką – równą niemal tej, jaką ona praktykowała. Pierwszy jego pokłon, gdy na lekcję przybywał, skierowany był w stronę obrazów świętych, którymi ściany mieszczańskiego domu gęsto były zawieszane. Relikwie nosił i ciotce ich udzielał. Mawiał z nią wiele o Rzymie, papieżu, o cudach, na które sam patrzył lub których doświadczyła jego rodzina. Jednego wieczoru wyznał jej poufnie, że się w każdy piątek biczuje.

Nawiasowo i jakby z niechęcią napomykał o swym bogactwie. Miał w bliskości Rzymu kopalnie marmurów, pod Neapolem winnice, w Wenecji pałac. Gdyby chciał, mógł być używać tytułu *conte*¹⁰⁶. Do Warszawy sprowadziła go jedynie chęć poznania Zygmunta, „największego artysty pomiędzy królami”.

– Alem rozmiłował się w waszej stolicy – dodawał – i gdyby przeznaczenie chciało...

Nie kończył – spojrzenie wszakże jego dopowiadało: „Już bym się stąd nie ruszał...”.

Ofka była olśniona. Ile razy mistrz z uczennicą duety grywali, przenosiła oczy z jednego na drugie, jakby chciała promienie ich dusz w jedno ognisko zestrzelić.

Oporniejszą od Ofki okazała się inna kobieta w domu Szeligów przebywająca. Była to daleka powinowata, współwychowanka Basi. Uważano ją przez pół za sługę, przez pół za przyjaciółkę. Na imię jej było Dobra albo Dobruchna. Na kamienicy Balcerowej sumkę miała, przez matkę Basi zapisaną; tymczasem, by chleba darmo nie jeść, gospodarzyła w domu opiekunów. Do gospodarskich zajęć Ofka była za stara, a Basia za piękna.

Dobruchnie wymuskany grajek nie przypadł do smaku. Słuchając pochwał, przez Ofkę wyśpiewywanych, powtarzała:

– Juraś gładszy... Juraś pocziwszy... Juraś stateczniejszy...

Powtarzała to głośno przy wszystkich, powtarzała też samej Basi tylko, gdy w komnatce dziewiczej poufnie gwarzyły.

– Jurasiowi ciotka przekorna... – mówiła Basia w zamyśleniu.

– Ciotka nie matka! Zniewolić cię nie może...

– Ojciec jej słucha i stryjek jej słucha. Wszystkim jest. Alboż nie tak się zawsze dzieje, jak ona zechce?

– Bo ty się głosu swego wstydasz. Powiedz rezolutnie: chcę Jurasia – a Juraś twoim będzie.

Zapłoniona buzia dziewczyny kryła się wśród złotych haftów na krośnach rozpiętych. Usta jej milczały.

– Czyż ci Juraś nad wszystkich nie droższy? – nalegała powiernica.

Śliczne oczy szeroko się otwierały, a spojrzenie ich wskroś szybek w ołów oprawnych uciekało daleko. Błądziła wzrokiem po szczytach baszt obronnych, po zaroślach Kępy Polkowskiej, po łąkach i borach zaręcznych, aż wreszcie z ust jej wybiegało westchnienie i odpowiedź cicha:

– Nie wiem...

Złą było to wróżbą dla młodego Zawiślaka – gorszą pono od zakazu bywania, jaki przed półroczem usłyszał. Zakaz spowodowany został nieobecnością gospodarza i ustać miał wraz z jego powrotem; niepewność przeciągnąć się mogła dłużej – na zawsze może...

Ze strony Jura zuchwalstwem poniekąd było marzyć o córce Szeli. Nie brakło jednak racji, które go usprawiedliwiały. Najpierw – był młody i miał serce kochliwe. Potem, nieboszczyk rodzic jego z ojcem Basi w przyjaźni żyli serdecznej. Potem jeszcze, sam on szczycił się łaskawością Szeli, a z jego córką dzieciństwo całe przeigrał. Nareszcie, choć nie bogacz, wcale był jednak zamożny.

Zawiślaki, ojciec i syn, liczyli się do pierwszych na całe Mazowsze złotników. Ba, w Krakowie i we Lwowie dobrze ich wspominano. Roboty starego Zawiślaka dotąd jeszcze w skarbcach kościelnych napotykać można. Odnalazłyby się też pewnie i w niejednym rodzie magnackim, który pamiątki szanuje.

¹⁰⁶ *conte* (wł.) – hrabia. [przypis edytorski]

Rodzic Jura fortunę zebrał wielką. Nie zostawił jednak całej synowi. W czasie pamiętnej klęski pożarnej, kiedy kupy hultajstwa, rzekomo ratując, rozbijały i kradły, zrabowano mu doszczętnie pracownię i składy zasobne. Rychło też potem umarł.

Po mistrzu sztuki złotniczej pozostały: dobre imię, dworek przy ulicy Podwalnej, rola na gruntach Nowej Warszawy i dwie sztaby „brantu¹⁰⁷ olkuskiego”, który srebro oznaczał. Jedynek odziedziczył po nim nadto: pracownię i talent.

I młody Zawisłak tytułem mistrza się zdołał, rodzaj wszakże tego mistrzostwa był już o wiele od ojcowskiego drobniejszy. Tak on się miał do niego, jak się ma piosenka do poematu. Jur uprawiał jedną tylko (najmistrzowszą co prawda) gałąź złotnictwa. Był on, jak nazywano podówczas, „ryngmacherem”. Monstrancji, kielicha, diademu i stołowej zastawy nie tknął; natomiast kolce¹⁰⁸, pierścienie, kanaki¹⁰⁹, bramki¹¹⁰, manele¹¹¹, alszbanty¹¹² i wszystko co do stroju, białogłowskiego zwłaszcza należało, wychodziło z jego rąk piękne, pieściwe i tchnieniem artyzmu uduchowione.

Do dworku na Podwalnej (gdzie stara Zawisłakowa, w ciężkim zagłębiona krześle, po dniach całych żywoty świętych, na przemian z horoskopami astrologów, czytywała) szli magnaci z miasta i ze wsi zamówienia czynić i gotowe kupować arcydzieła. W rzeczach handlu syn wyręczał się matką, sam bowiem, jak prawdziwy artysta, wstręt czuł do targów wszelkich. W dwóch izbach na dole kilku wyrostków wykończyło grubsze roboty; na piętorku, w niewielkiej, ale światła pełnej komnatce, pracował Jur, ciszą otoczony i samotnością.

Nie była wszakże samotność owa zupełną. Świetlany obraz Basi na chwilę stamtąd nie wychodził. Ileż razy młodzieniec odkładał narzędzia, wzdychał, chcąc powietrzne widziadło w objęcia pochwycić!...

Basia tymczasem mówiła: „Nie wiem...”.

¹⁰⁷ *brant* (z niem.) – kruszec wytopiony z rudy; *brant olkuski*: srebro z kopalń w Olkuszu. [przypis edytorski]

¹⁰⁸ *kolce* (daw.) – kolczyki. [przypis edytorski]

¹⁰⁹ *kanak* (z tur.) – naszyjnik. [przypis edytorski]

¹¹⁰ *bramka* – ozdoba biżuteryjna na czoło i głowę. [przypis edytorski]

¹¹¹ *manela* (z wł.) – bransoleta. [przypis edytorski]

¹¹² *alszbant* (z niem.) – naszyjnik, taśma ozdobiona klejnotami a. naszywany klejnotami gorset kobiecy. [przypis edytorski]

VI. Szczerb wypływa

W tej samej chwili, kiedy człowiek z brodą Ajaksa huknął z potężnych piersi: „Węgry, naprzód!” i uzbrojona cudacznie hałastra z brzękiem i szczękiem rzuciła się w zaułek, Szczerb oparty silnie o krzepkie deski parkanu doznał nagle wrażenia, jakby się pod nim otwierała przepaść – nie u stóp jednak, lecz pod plecyma¹¹³...

Zabierał się właśnie do ostatecznego rozbicia klepek tej beczki żywej, która na krótkich nóżkach przed nim skakała, drażniąc go i wyzywając, gdy plecy jego straciły raptem punkt oparcia i zdążywszy zaledwie krzyknąć: „Jezu Nazareński!”, w przepaść ową runął.

W jednej chwili: krew, sztylety, zaułek, światło księżycy i ostrza halabard zniknęły mu sprzed oczu, jakby je zdmuchnięto.

Potoczył się kilkanaście kroków w tył i upadł – szczęściem na coś miękkiego, co wyziewało zapach rezedy i goździków.

Gdy padał, zdało mu się, że gdzieś w pobliżu krzyknięto: „ach!” i „och!”. Były to dwa różne wykrzykniki i dwa różne głosy, łączyła je wszakże ta wspólność, że wybiegły oba z piersi niewieścich, młodych i wzruszonych.

Młodzieniec, nie bez trudności dźwignąwszy się, pełnym zdziwienia wzrokiem potoczył dokoła.

Ciemno tu było i cicho. Z dała tylko dochodził hałas straży uprowadzającej więźniów. Grubych cieni nie rozpraszało światło księżycy, ile że chmurami on zaszedł, a skąpych jego blasków ściana wysoka nie przepuszczała.

Zapach kwiatów i przyjemna świeżość powietrza kazały domyślać się Szczerbowi, że jest w ogrodzie. Jakoż jął rozeznawać niepewne, rozplływające się sylwety drzew, małe kręgi klombów i plamy białe, które pewnie były posągami.

Naraz jedna z tych plam posągowych poruszyła się z miejsca i w stronę młodzieńca nadpłynęła.

– Pan Jur? – ozwał się głos pytający a niewymownie słodki. – Pan Juraś?...

Młodzieniec wyprostował się i rękę uniośł do czapki, której jednak na miejscu zwykłym nie było.

– Szczerb jestem – dobitnie oświadczył. – Bolko mi na imię.

„Ach!” i „och!” rozległo się ponownie, w odmiennej wszakże tonacji. Jednocześnie plama biała wróciła na dawne miejsce, gdzie złączyła się z inną, tkwiącą tam dotąd nieruchomo. I zaraz szybko obie te plamy, jakby od ziemi oderwane, jęły chwiać się i w górę unosić...

Szczerba, któremu wino, walka i osłabienie zamęt w głowie sprawiały, wszystko to bawić poczyniło.

Pod boki się ujął, nogi rozstawił i wąsa do góry podciągnął.

– Anielskie wy figury czy też duszyczki czyścicowe! – rezolutnie zawołał – czymkolwiek jesteście, samego mię nie rzucajcie! Jur nie jestem, alem Jura *amicus*¹¹⁴. Prawdę wyznałem, łaska mi się należy. Jeślim w niewoli waszej, niechże to nie będzie jasyr tatarski, a jeślim wam niepotrzebny, na wolność mię puśćcie...

– Akurat! Żeby waćpana straż marszałkowska capnęła! – ozwał się głos z wysokości.

Młodzian przeszedł w ton lamentacyjny.

– Mamże więc żyć samotny jak pelikan w puszczy? Mamże kwiatami się karmić jak nieboszczyk Nabuchodonozor? Mamże rosę nocną mieć za napój jak pliszka i skowronek?

– Krzywda się waćpanu nie stanie! – uspokoił go ten sam głos, co przedtem.

¹¹³ *plecyma* – dziś popr.: plecami. [przypis edytorski]

¹¹⁴ *amicus* (łac.) – przyjaciel. [przypis edytorski]

Szczerb rozczulać się jał¹¹⁵.

– Nimfy lekkostope! – zawodził – syreny słodkośpiewne, panienki... o! paa... nien... ki...

W tej chwili pociemniało mu w oczach i w całym sobie osłabienie uczuł wielkie. Wyciągnął ręce i kroków kilka postąpił, szukając oparcia. Napotkawszy drzwi jakieś otwarte, rzucił się w nie ruchem instynktownym. Zaraz też padł, tracąc przytomność...

Gdy po długim letargu oczy rozemknął, zdało mu się, że już jest do innego świata przeniesiony.

¹¹⁵ jać – zacząć. [przypis edytorski]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.